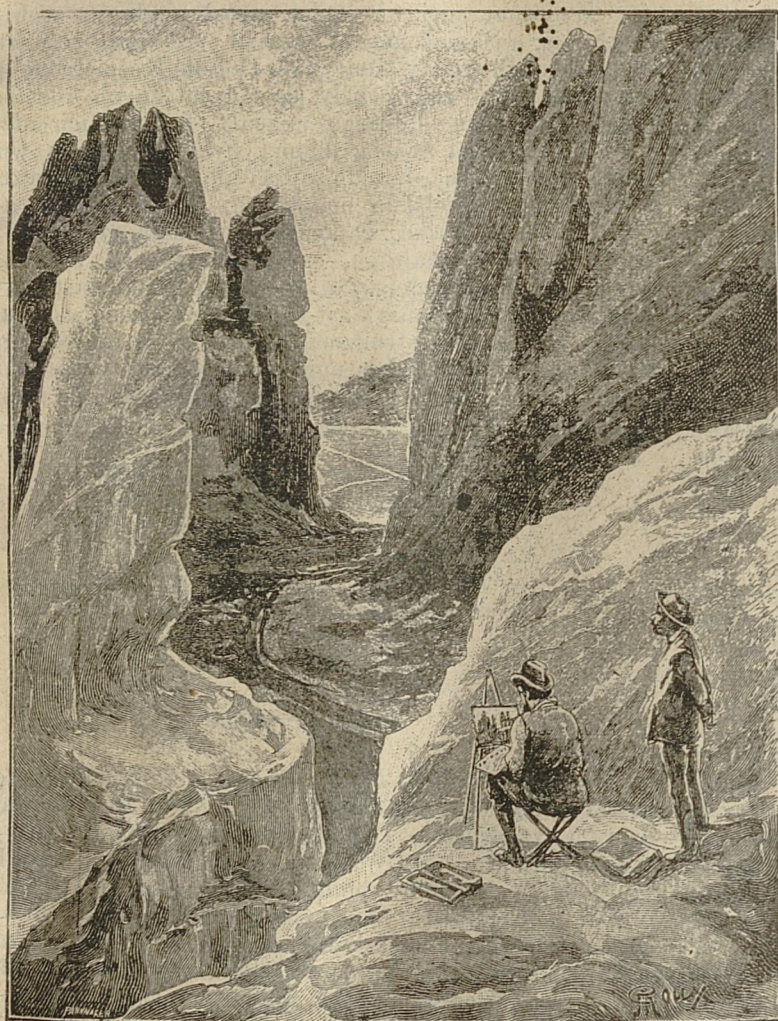


WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.

Do pow. Testament Dziwaka.

Latem.



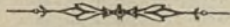
Maks Real malował z zapalem.

Uwiedło wiosny kwiecie,
A lato nowy wianek
Nie z fiołków, bzów, sasaneł,
Lecz z innych kwiatów plecie.
W płomienny mak, blawatki
Skróń ziemi lato stroi,
Królownie niesie swojej
Pęk traw i barwne kwiatki.
Płon niesie jasnokłosy
Płon niesie wyzłacany;
Jaśnieją zbożem łany
W tęczowych kropłach rosy.
Szeroką się przestrzenią
Wzdymają złote fale,
Wśród fal tych, jak korały,
Makówki się czerwienią.

* * *
Drżą kłosy, lśniące rosą,
Bo tam, gdzie droga polna
Zniwiarze idą zwolna
I jasne sierpy niosą.
I zaszumiała niwa
Olbrzymią falą złotą,
Wionęła pieśń tęsknotą
I w dali się rozplywa:
—O, już nam nie żyć więcej
Ani się poić rosą;
Tam w dali idą żenicy
I ostre sierpy niosą!...
Nie szumieć nam o świcie
W poranku mgłę perłowej,
Gdy spływa blask i życie
Na nasze złote głowy. —
—Nie skarżcie się, złociste —
Chór traw zaszumiał w dali—
Spojrzcie w to niebo czyste,
Co się od wschodu pali,
I spojrzcie tam daleko,
Gdzie wzgórze osiwiła,
Tam złotostrzeche, białe
Śpią chaty ponad rzeką.

Tam wiosną pole orze
 Kmieć z twarzą zaszępiłą:
 Czy też wybuja zboże
 Tą runią, tą zieloną?
 A matka czolo chyli,
 Wzywając łaski nieba —
 Że w chacie niema chleba,
 Dzieciątko cicho kwili...
 Ach! im to ku pociesze,
 Zesłały was niebiosy:
 Nakarmcie lud ten bosy,
 Nakarmcie głodne rzesze!

Z. Plewińska.



Zofia Urbanowska.

ROŻA BEZ KOLCÓW.

Opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej.

(Dalszy ciąg).

— A gdzież jest źródło Białego Dunajca? Słyszałem że ono właśnie jest na Kalatówkach.

— Nazywano tak rzeczywiście, ale nazwa była błędna. Dunajec tak Biały jak Czarny, rosną z różnych drobnych strumyków rozmaicie się nazywających i dopiero w większy strumień poniżej złączone, przybierają właściwą nazwę. Biały Dunajec powstaje dalej z połączenia tejże Bystrzycy i innymi potokami.

— Piękną i malowniczą jest gwara podhalska — odezwał się malarz, — wyrażenia takie na przykład jak Wywierzyska, Siklawa, Wodogrzmoty, są tak charakterystycznymi, tak wybornie malują rzecz, że niczem innem nie dadzą się zastąpić!

Na polanę zwaną Kalatówkami, szli przez las i bujne, barwnem kwieciami błyszczące trawy. Tu posłyszeli nadzwyczajny szum i łoskot i szli w kierunku tego szumu, drożyną wiodącą nad przepaścią. Z góry ujrzeni olbrzymi strumień wody wybuchający z pomiędzy kamieni porośłych bujną zielonością, który rozbijając się o zawadzające mu głazy, szumi, buczy, wre i pieni się, zanim spłynie w potok płynący doliną. Aby się lepiej przypatrzeć temu ciekawemu zjawisku, zeszli na dół, skąd Wywierzyska przedstawiała im się w całej okazałości. Wspaniale wyglądała ta biała jak śnieg piana, przy ciemnej zieloności świerków zwieszających się z wysokości skał okolicznych. Szum był taki, że stojący u stóp wodospadu nie słyszeli własnego głosu, a na twarzach czuli chłodny powiew od silnego prądu wody.

Malarz patrzył na wspaniałe widowisko okiem artysty, profesor okiem geologa i uczonego; interesowała go zwłaszcza masa wielkich głazów, zawałających znaczną przestrzeń, jakby olbrzymie rumowisko. Henryk był zachwycony, bo jeszcze nigdy w życiu nie widział wodospadu, a sir Warburton, który już wiele widział, podziwiał bogactwo wytryskującej wody. Na to odezwał się profesor, odprowadziwszy go trochę na bok, gdzie huk był mniejszy, że Tatry właściwe odznaczają się nadzwyczajnem bogactwem wód i że niema z pewnością nietylko w całym systemie Karpat, ale w ogóle między górami środkowej Europy drugiego pasma, któreby im pod tym względem dorównywało. Oprócz wartkich potoków, wijących się pośród zielonych łąk środkiem dolin, wydobywają się tu ze skalistych szczytów, lub z wałów kamiennych olbrzymie zasoby wody, tworząc źródła tak potężne, że każde z nich mogłoby dać początek wielkiej rzeki.

Baronet usiadł na jednym z bliskich głazów i wyjąwszy z kieszeni składaną srebrną szklanczkę, zaczerpnął wody, ale nie mógł jej pić samej: była zbyt zimna. Miała tylko trzy stopnie ciepłoty. Zawołał więc na Jerrego o wino, i dolał go do wody.

Słońce zachodzące barwiło szczyty na wszystkie odzienia fioletu, bramując ich zarysy złotem, a w rozpylonej mgłę wodospadu i jego kryształach, grało siedm kolorów. Każda kropla wydawała oddzielny blask łamiącego się światła, a wszystkie razem układały się w tęczę.

— Witaliśmy dzień pod trzema łukami tęczy, i zegnany go tęczę kładącą się u stóp naszych — przemówił baronet; — spędziliśmy razem dwa piękne dni i dzięki panom dowiedziałem się niejednej rzeczy, o której istnieniu nie wiedziałem, i zobaczyłem niejedną piękność, któreby sam był nie dojrzał. Nie znalazłem wprawdzie róży bez kolców, ale mam nadzieję, że ją jeszcze spotkam na mej drodze. Dobrze nam było razem i spodziewam się, że się jeszcze spotkamy. A teraz wracajmy Walterze, bo czas na nas; chciałbym być w domu przed nocą.

Wozy czekały w Kuźnicach i tam nastąpiło rozstanie. Powrót Henryka do Zakopanego był prawdziwym wjazdem tryumfalnym. Jechał wprawdzie skromnie na wózku wraz z malarzem i doktorem, ale wyprzedził go wóz przybrany jedliną, z niedźwiedziem, którego skórę juchasom przyszło na myśl wypchać sianem i zaszyć, aby udawał żywego. Niedźwiedziowi temu zlatywali się wszyscy przypatrywać, a sława młodego bohatera rozbrzmiewała w całym Zakopanem.

Z nieznaną osobą, urosł nagle na osobistość rozgłosną, a Slimak nawet wyraził się o nim, że wart być zbójnikiem. Przygody Henryka w Dolinie Kościeliskiej przechodząc z ust do ust, urosły do tak potężnych rozmiarów, i tak przeobrażone do niego wracały, że sam ich nie poznawał. Babunia Kasia dumna była ze swego wnuka; siadła zaraz pisać list do ojca i nie pominęła szczegółu o przyjaźni z angielskim magnatem, a Marysia która bardzo kochała braciszka, zapomniała na całą godzinę o swoich królikach; ścisła go, całowała i mówiła, że jest najmędrszym, najpiękniejszym rycerzem i że warto o nim książkę napisać. Henryk syt sławy zamiast spocząć na laurach, jakby nie czuł strudzenia, puścił się w taniec góralski po pokoju, i przebijając nogami na jednym miejscu, spoglądał figlarnie na siostrzyczkę i śpiewał piosenkę słyszaną od jednego z górali:

„Bodaj ty dziewczyno maliniaka zjadła,
 Coś ty Janickowi do serduszka wpadła.

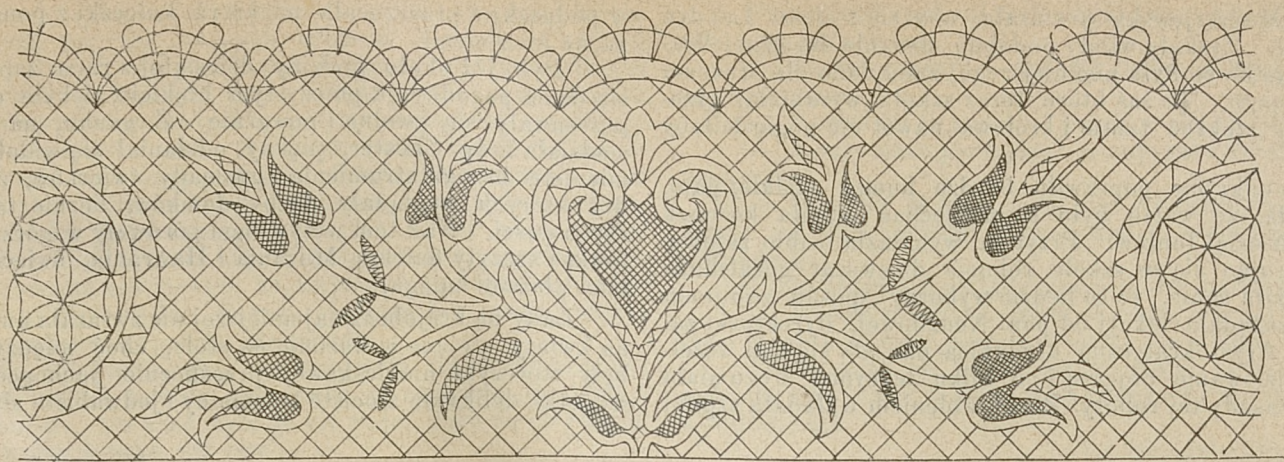
Chyba cię dziewczyno dyabli malowali,
 Że do twoich liczek takiej krasy dali.

— Ej dyć mnie malował sam Pan Jezus z nieba,
 Bo do moich liczek takiej krasy trzeba.”

XIV.

Nitka zerwana.

Skromny domek Tatara na Starej Polanie tak pięknie został urządzony, że samego gospodarza przejmował podziwem i zazdrością. Piękność to bowiem była czysto miejscowa, góralska. Sir Warburton, wielki piękna wszelkiego wielbiciel, tak sobie upodobał styl zakopański, którego próbki widział w starych, poczerńniętych sprzętach swego gazdy, że i własne mieszkanie zapragnął w podobne zaopatrzyć. Dowiedziawszy się, że szkoła snycerska w Zakopanem wyrabia podług starych modeli, sprzęty zastosowane do potrzeb ludzi cywilizowanych, i tworzy z motywów miejscowych bardzo szczęśliwe, artystyczną wartość mające kombinacje — udał się tam zaraz. Znalazł trzy gotowe garnitury, umeblowanie sypialni, jadalni, gabinetu do pracy, i tak się zapalił do tego stylu, w niczem nie przypominającego banalnych, do zbytku już znanych produkcji szwajcarskich i tyrolskich, że zakupił wszystko co było, wy-



Koronka stylowa zakopańska z liliami.

dawszy na to ogromną sumę dwustu funtów szterlingów. Sprzęty te przeznaczone do jego zameczku myśliwskiego w Szkocji, tymczasem służyć miały ku wygodzie właściciela przez cały czas pobytu jego w Zakopanem.

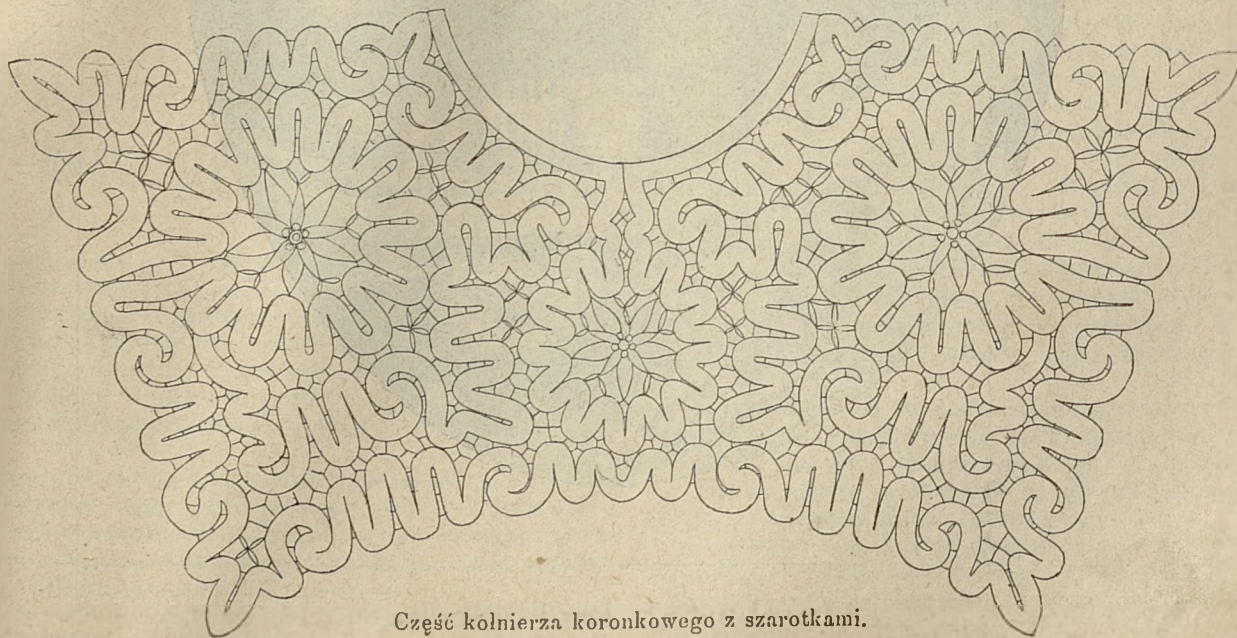
W domku Tatara były cztery izby przedzielone sienią, po dwie z każdej strony: z prawej znajdowała się sypialnia milady i pokój jadalny, z lewej mieścił się sir Warburton, oraz Walter z Dawidem.

Trzy zatem izby, to jest sypialnia lady, pokój jadalny i gabinet baroneta, umeblowane zostały świeżo zakupionemi sprzętami z jasnego bukowego drzewa. Na szafach, łóżkach, krzesłach znajdowały się rzeźby oryginalne, wizerunki kwiatów, słońc, gadów, napuszczane farbą w nacięciach, lub kolorowem drzewem wykładane. Było nawet biurko dla sir Edwarda i toaleta dla milady, a choć górale biorek ani toalet nigdy nie używali, ale lustro umieszczono w ramie naśladującej stare oddrzewia, a biurko było z szafkami, zamykanemi na misterne zasuwki. Każdy góral miejscowy mógł je uznać za swoje, bo nie wychodziły z zakresu typowości. A już co kredens, biblioteka, skrzynie i półki wszelkiego rodzaju, te były prawdziwemi arcydziełami dobrego smaku i oryginalności form. To też Tatar choć rad takiemu ozdobieniu wnętrza swego domu, choć z dumą na nie patrzył,

ale myślał zarazem z żalem, że to wszystko wraz z gośćmi zamorskimi, wyjedzie daleko za morze.

Podłogi pokryły częściowo kołomyjskie kilimki, których dużo do Zakopanego zwieziono i które goście chętnie kupowali — słowem wnętrze mieszkania Anglików przedstawiało się bardzo ozdobnie i barwnie.

Lady Chester nie tak zapalona do okazów sztuki góralskiej, znalazła jednak też coś i dla siebie w Zakopanem, mianowicie w szkole koronkarskiej, którą raczyła zwiedzić. Odkryła tam doskonałe, niczem nie ustępujące oryginałom kopie starych niemieckich i brukselskich koronek, włoskich *reticello*, a co najważniejsza, wspaniałe wielkiej delikatności koronki stylowe, gdzie do form staroświeckich zastosowano umiejętnie rysunku motywa miejscowe. Wachlarze z szarotkami rozpiętymi na pajęczej delikatności tle, gipiurowa kapa na łóżko w stylu czysto zakopańskim, gdzie lilie Martago i niezapominajki tak były misternie splecione, że największego znawcę zachwycić mogły — lub koronkowy serdak, który nawet na przyjęcie u dworu włożyć było można. Były to rzeczy nowe, oryginalne, jakich nie posiadały najbogatsze lady Wielkiej Brytanii, bo na wystawie tych wyrobów urządzonej w Glasgowie staraniem pani Giełgudowej, szkoła otrzymała list pochwalny; słynna zaś artystka pani



Część kołnierza koronkowego z szarotkami.

Helena Modrzejewska postarała, aby się z niemi Londyn „apoznał”. Zyskały wtedy podobno uznanie Księżnej Walii i wszystko co było piękniejszego, zakupiono dla Muzeum Narodowego. Te zaś które teraz szkoła wyrabiała, przewyższały stokroć tamte i królowa nawet nie pogardziłaby niemi.

To odkrycie poprawiło bardzo humor wielkiej pani, przyznała, że warto było tu przyjechać i kupiła koronek za pięćdziesiąt funtów. Przytem wynalazła sobie zajęcie. Przypatrując się w szkole robocie dziewcząt góralskich, powiedziała sobie, że to będzie wyborny sposób zabijania czasu i zażądała lekcyi od pani Neužilowej, dyrektorki zakładu. Arystokratyczna uczennica okazała się nad wszelkie spodziewanie pojętną i po kilku lekcyach zrozumiała główne zasady tej roboty. Z zadowoleniem wkładała szpilki

w poduszkę i przerzucała na krzyż kołeczki z ponawijaniem na nich niemi.

Było już około godziny dziesiątej z rana; zapowiadał się dzień pogodny, a po czystym błękitnie, lekkie obłoczki przesuwwały się zwolna i poważnie. Z ganku, na którym siedziała lady Chester, piękny odsłaniał się widok na kamieniste brzegi strumienia i gromady świerków, z pomiędzy których wyglądały dachy domków, licznie tam osiadłych gości. Nad tem wszystkim górowały wzgórza Antałówki i szczyty dalekie Murania i Hawrania, świecące białemi płatami śniegu.

Lady na krajobraz najmnieszej nie zwracała uwagi, ani na kwiaty stojące w wazonie na stole, choć między niemi były storczyki niebieskawe, prześlicznie pachnące, białe szarotki, delikatne złociste balsaminy i jedwabiste sitniki na



Humbert I król włoski.

† 29-go lipca 1900 r.

moczarach zrywane, a wszystko na podkładzie z najdelikatniejszych paproci, zwanych włosami Wenery. Całą jej uwagę zdawała się pochłaniać leżąca przed nią podłużna walcowata poduszka, gdzie setki poutykanych szpilek stały w wojskowym ordynku, przytrzymując nici krzyżujące się na wszystkie strony. Kawałek ćwierć metrowej koronki, zwieszający się z owej poduszki, dzieło rąk własnych milady, a białe, pierścionkami ozdobione ręce, były w ustawicznym ruchu, przerzucając koleczki. Ktoby jednak znał bliżej tę panią, ten na nią dziś spojrzawszy, zauważyłby, że jest jeszcze coś innego, zajmującego ją więcej niż robota. Zauważyła to już Fanny, siedząca na progu i zajęta garniowaniem czepeczka dla milady.

Ta, lub tamta ręka, zatrzymywała się chwilami w powietrzu, wzrok milady spoczywał nieruchomo na jakimś przedmiocie, ale znać było że nie widzi tego na co patrzy, a na twarzy żywsze niż zwykle miała rumieńce, choć był to może refleks od różowego satynkowego szlafrocza, su-to ozdobionego wstążkami i koronkami. Z tych szczegółów ubrania, z tego zamięłowania do falbanek i wstążek, widać było, że lady Chester nie jest rodowitą Angielką, bo Angielki lubią przeważnie prostotę.

Obok wazonika z kwiatami, leżał *Times*, świeży numer *Graphica* i złoty malutki zegarek z brylantowym monogramem. Lady spojrzawszy na cyferblat, zadzwoniła, a gdy się zjawił służący, spytała.

— Czy sir Warburton już się przebudził?

— Tak jest milady, w tej chwili podałem Jego Dostojności herbatę.

— A pan Walter?

— Pan Walter wstał o siódmej i przekłada bibułą rośliny przyniesione z wycieczki.

— Proś pana Waltera!

(d. c. n.)



Wiktor Emanuel III król włoski

WÓZEK Z POMARAŃCZAMI.

W piękny poranek sierpniowy, w okolicy Rzymu przejeżdżał konno mały, dziesięcioletni może chłopiec w towarzystwie poważnego mężczyzny i dwóch służących, trzymających się zdala za jadącym. Taż samą drogą prowadzono na targ wózki z owocami i jarzynami, między innymi chłopak lichy odziany i mizernie wyglądający, ciągnął również wózek napełniony pomarańczami. Ciężar znać był nad jego siły.

Chłopiec co chwila przystawał, ocierał pot z czoła podartym rękawem i ochrypłym głosem wołał: — Pomarańcze słodkie, tanie pomarańcze! — Nikt jednak nie kupował zachwalanego towaru. Głos chłopca stawał się coraz słabszy, a wózek nalożony posuwał się coraz leniwiej.

— Hej chłopcze, co chcesz za te pomarańcze? — zapytał mały jeździec, zatrzymując konia.

Przekupień spojrział nań zdziwiony, obliczając ile razem wart jego towar.

— Co to znaczy? — zapytał jadący z chłopcem starszy mężczyzna.

— Pozwól mi je kupić — prosił w odpowiedzi malec.

— A czy masz pieniądze? — zapytał z kolei poważny towarzysz.

— Właśnie że mam — odparł z pewnością siebie. — Mama mi dała sztukę złota — dodał, wyjmując 5 lirów z kieszonki.

I schyliwszy się podał rozwozicielowi pomarańczę.

— Więcej nie mam, jeżeli za mało, rozdaj pomarańcze i przyjdź do mnie, poproszę mamy, to ci doda.

Rozwoziciel na widok sztuki złota, która pięć razy opłaciła jego towar, szeroko oczy otworzył i nie mógł wyjść z podziwienia.

— No, dalej, wysypuj pomarańcze! — zawołał malec, zeskakując z konia. — Poczekaj, ja ci pomogę — dodał.

I zaczął wyjmować z wózka pomarańcze. Zaraz też zbiegła się cała rzesza dzieci, ujrzawszy żółty owoc rozsypany na drodze.

Chciały go zbierać.

— Hola! — zawołał mały dobroczyńca — nic bez pracy — kto złapie, ten dostanie.

I zaczął podrzucać w górę owoce, a dzieci, śmiejąc się i podskakując chwytali je jak piłki.

— Pyszna zabawa! — wołał panicz, uganiając się wraz z innymi za podrzucałym owocem.

Starszy towarzysz patrzył na małego z upodobaniem, nie przeszkadzając niczem jego zabawie.

Po powrocie z przejażdżki, ochmistrz opowiedział ojcu o postępkach i zabawie syna.

— Zadowolony jestem z ciebie, mój chłopcze — rzekł ojciec, gładząc zarumienioną twarzyczkę malca, jeżeli dziś zjednasz sobie przyjaźń rówieśników, będziesz miał z nich w przyszłości wiernych poddanych.

Tym ojcem był Humbert I, król włoski ur. r. 1844 wstąpił w r. 1878, zamordowany zbrodniczą ręką dnia 29-go lipca h. r. którego zwłoki wśród żalu rodziny i całego włoskiego narodu, spoczywają już dziś w Panteonie, jedynym w całości zachowanym budynku starożytnego Rzymu, w którym składają Włosi szczątki zasłużonych krajowi ludzi.

Synem zaś bawiącym się pomarańczami Wiktor Emanuel III, obecny król włoski, który zaraz po ojcu objął rząd.

W chwili, gdy to piszemy, pociąg wiozący wracających z uroczystości pogrzebowych króla Humberta, wykoleił się nieopodal Rzymu. Młody król wraz z małżonką swą Heleną Czarnogórską pospieszył na miejsce katastrofy i sam osobiście kierował akcją ratunkową.

Niechajże w dalszym ciągu stara się ulżyć niedoli swego ludu, jak w dzieciństwie ulżył rozwozicielowi pomarańczę a w chwili objęcia rządów, nieszczęśliwym pod rozbitemi wagonami.

Siódmy list Janka Z. do Redakcyi Wieczorów.

(Dokończenie).

— Co ze mną zrobią, dlaczego mnie porwali? myślałem, ale nie znajdowałem odpowiedzi na to pytanie. Betschuani nie są ludożercami, zresztą lichą mieliby ze mnie pieczeń, bo nigdy nie byłem tłusty, a wychudłem po chorobie! Na co jednak mogłem im być potrzebny? Dowiedziałem się o tem wieczorem.

Mężczyźni wrócili z polowanie, które im się dobrze powiodło, bo zabili dwie antylopy i kilkanaście ptaków, upierzonych jak nasze kuropatwy, poczem zasiedli do kolacyi. Dano i mnie gotowanego mięsa, ale rozdzierać je musiałem palcami, noż mój zabrali rabusie; zabrali oni wszystko co znaleźli w moich kieszeniach, zostawując mi tylko ołówek i notatnik. Bali się liter, sądząc, że są to czarodziejskie znaki i temu przesądowi zawdzięczam możność wysłania do was listu, kochani koledzy, ale też ołówek i papier ma dla mnie nieocenioną wartość. Ileż razy niecierpliwie czekałem, marnując bez potrzeby kajety lub pióra!...

Lecz wracam do owego pierwszego dnia mojej niewoli. Po kolacyi mężczyźni zasiedli na ziemi i zapalili gliniane fajki; naradzali się długo między sobą, poczem jeden z nich przyszedł do mego posłania i zaczął mówić łamanym angielskim językiem.

Z początku trudno mi było zrozumieć, czego chce, pojąłem jednak w końcu. Pytał mnie o matkę, a ja omal nie rozpłakałem się z żalu. Betschuani sądzą, że jestem synem pani van der Nort, spodziewali się więc okupu od Holenderki; mieli też bardzo kwaśne miny, kiedy powiedziałem im, że moja mama nie żyje, a pani van der Nort, weale o mnie troskać się nie będzie.

Byłem dla Betschuanów fantem, z którym nie wiedzieli co zrobić, szczęściem nie zabili mnie jednak, nie wypędzili nawet na pastwę hyen i szakali, pozwalają żyć i dają jeść, a ja siedzę i czekam, aż wygoją mi się nogi, bardzo jeszcze spuchnięte. Staram się nie myśleć o tem, co będzie dalej.

Piątek 25 maja.

Znów wróciłem do pisania, bo lżej mi na sercu, gdy wypowiem to co czuję. Jestem okropnie zniechęcony; dni płyną, nie przynosząc żadnej zmiany w mojem położeniu, rany na nogach zagniają się, widać zostały w nich kolce, choć stara Betschuanka zapewnia, że wyjęła już wszystkie. Żyję pod jej opieką i pomagam w pracy starusze, nianczę za nią maleńkie dzieciątko, które wygląda jak czarny kociak, a przedewszystkiem tłukę kukurydzę w stępie zrobionej z wypalonego pnia.

Betschuani żywią się przeważnie kukurydzą, żytem i mlekiem, ale jedzą jednak także i mięso, gdy się im uda upolować zwierzę; największym zas przysmakiem jest dla nich krew wołu. Cenią bardzo bydło, chowają wielkie stada i sprzedają je w Kimberleju, dokąd dowożą także na targ kukurydzę i skóry zwierząt.

Wy, kochani koledzy, mało zapewne interesujecie się krajem jakichś tam Betschuanów, a jednak kraj to większy może niż cała Europa, ciągnie się na północ od rzeki Oranii aż w nieznany głęb Afryki, i zamieszkany jest przez ludność, która w większej części rządzi się sama, gdyż tylko południowe prowincje potrafił shodować Anglii generał Warren w 1886 r. Są też one najwięcej ucywilizowane, bo mają ciągłą styczność z Burami i Anglikami; wielu z ich mieszkańców pracuje w kopalniach Johanesburskich, umie czytać, a nawet pisać, gdyż Anglicy zakładają dla nich szkoły, wielu także przyjęło wiarę chrześcijańską od misyonarzy, których główna stacja jest w Kurumanie. Ci ubierają się w bawełniane spodnie i koszule; rozróżnić po tem można chrześcijanina od pogan, którzy chodzą nagi i noszą tylko mały fartuszek zwany karos.

Wojna źle wpłynęła na Kafrów i innych krajowców: obudziła w nich chęć do grabieży. Ja właśnie padłem ofiarą takiej zachcianki. Kral, w którym żyję od kilku tygodni, stoi w okolicy nieurodzajnej, mieszkańcy wioski są biedni, chaty ich nędzne, ale bywają osady Betschuańskie, gdzie spotkać można murowane domy i dobrze uprawne ogrody.

Niedziela 27 maja.

Znów dwa dni nie pisałem, bo napadło mnie okropne zniechęcenie, zaczynam tracić nadzieję ocalenia, przytem rozdarła mi się kieszeń i zgubiłem ołówek. Ach, jak ja go szukałem! jak się ucieszyłem znalazłszy. Mądry Polak po szkodziu, mówi przysłowie, ja też dopiero zgubivszy ołówek, wziąłem się do zeszywania dziury w kieszeni. Użyłem do tego kolca mimozy i włókna rośliny, z której Betschuani kręcą liny i robią sieci.

Śmielibyście się, widząc mój szew, ja jednak byłem bardzo dumny, naprawivszy rozdarcie, obudziłem nawet podziw starej Betschuanki, pokazywała swojej synowej moją robotą. Zyskałem łaski staruszki, zaprzyjaźnivszy się z jej wnukiem. Nie mogłem z początku rozróżnić dzieciaków, były wszystkie jednakowo czarne i podobne do siebie, powoli przyzwyczaiłem się rozpoznawać je, a dwunastoletniego Samba polubiłem za jego talent rzeźbiarski.

Będziecie się śmiali, jednak tak jest, rzeźbi i to nawet rzeźbi bardzo artystycznie, o ile znać się na tem mogę. Wczoraj naprzykład wystrugał trzonek siekierki i zakończył go łbem antylopy z doskonale rozwiniętymi rogami. Wszystkie sprzęty domowe przyozdobił wyrzynaniami, prawda, że sprzętów jest bardzo mało, stołki o trzech nogach stanowią główne umeblowanie izby, ale każda z tych nóg mogłaby słusznie być podziwianą w muzeum afrykańskich zbiorów, a cóż mówić o maczugach, tarczach, dzidach jakimi te pokryte są rysunkami.

Staram się rozmawiać z Sambem i kreślę mu na piasku różne ozdobnicze wzory wedle naszych europejskich pojęć; słucha ciekawie, a oczy dziecka błyszczą. Mnie zaś żal tej iskry, jaka tli w duszy czarnego malca.

Sobota 2 czerwca

Nie pisałem dawno. Co pisać? straciłem nadzieję wydostania się ztąd, jestem ciężarem i darmozjadem, a rany dotąd niezgojone, iść więc niepodobna zwłaszcza samemu. Myśliwi, wracający z obławy, opowiadają często, że widzieli oddziały angielskie, maszerujące na północ-wschód ku Transwaalowi, ale tu nie pokazał się żaden, a jednak miesiąc już żyję w niewoli z tęsknotą do ojca, do białych ludzi! Tak miesiąc, bo dziś 2 czerwca, mam swój kalendarz na kiju i sprawdzam datę. Robię każdego dnia małe narysunki na lasce, a w niedzielę krzyżyk. Widziałem, że karbowy u cioci tak rachował kopy i sposób okazał się dobry, bo pomaga mi liczyć dni mojej niewoli. Marna to pociecha! staram się mężnie znosić przeciwności, ale pisać do was koledzy nie mam już odwagi. Czyż dojdą was te kartki? jest ich już tylko dwie w notesie. Boże! cóż ja widzę! ktoś jedzie na koniu...

(Przyp. Red.) List ten Janka Z., pisany na kartkach z notesu, odebraliśmy bez podpisu, a koperta zaadresowana inną ręką. Jesteśmy o niego bardzo niespokojni.

TESTAMENT DZIWAKA,

POWIEŚĆ

JULIUSZA YERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg).

Mimo, że Real miał wielką pokusę poznania tego miasteczka, oparł się jej przecież, gdyż pociąg ruszał niezwłocznie.

dalej, a pominąć go, znaczyło to samo, co opóźnić o całą do-
bę przybycie do właściwego celu podróży, tak zaś pozostała
przestrzeń około stu milową przebył bez przerwy dość szyb-
ko, i stanął w Cheyenne, stolicy Wyomingu, już 16 maja,
omijając leżącą na zachód piękną miejscowość Snowy Ran-
ges, z wyniosłymi szczytami Kong's Peak.

Dziwaczna nazwa Cheyenne nadana zarówno miastu
jak rzece nad którą ono leży, powstała przed laty z zepsu-
tego miejscowym żargonem wyrazu Chien, jak pogardliwie
przezwaną zamieszkałe tu plemię indyjskie. Niezbyt też
dalekie są jeszcze czasy, gdy pierwsi tu poszukiwacze złota
rozbili swe namioty, które wkrótce zastąpiły chaty, a na-
stępnie murowane domy wznoszące się wzdłuż ulic i dokoła
obszernych placów, od czasu gdy wielka linia kolei „Od
oceanu do oceanu” przechodzi tamtędy.

Podłużny prostokąt, jaki zakreślają państwowe grani-
ce Wyomingu, przedstawia jużto wyniosłe góry, już głębokie
doliny, a gdy Colorado, Columbia i Missouri, trzy wa-
żniejsze rzeki w nawodnieniu północnej Ameryki, tu właś-
nie źródła swe mają, zasługa tego stanu jest bodaj dosta-
teczną, aby gwiazda jego zajaśniała obok innych na błęki-
tnej tarczy herbu państwa.

Maks Real zachował w Cheyenne, tak jak w całej swej
dotychczasowej podróży, ściśle incognito; a że nikt nie spo-
dziewał się go tu tak wcześniej, więc unikał bez trudu uro-
czystych przyjęć i suty, a niezdrowych obiadów, które-
mi entuzjastyczna publiczność, zechciałaby niezawodnie
uczcić swego wyjątkowego gościa, a w których wzięłyby też
udział kobiety. Równouprawnienie bowiem płci pięknej
stało tu już na tym punkcie, że przyznano jej prawo gło-
sowania do wyborów parlamentarnych.

Gdyby artysta rozporządzał dowolnie czasem, byłby
najchętniej wybrał się do Parku Narodowego pieszo lub
końmi, aby miał swobodę zatrzymania się gdziekolwiek
zechce, czy to dla poznania uroczych zakątków obszernej
kotliny Laramie Ranges, której gliniasty grunt niegdyś, we-
dle zdania geologów, dno olbrzymiego jeziora, zdobi dziś
bujna roślinność traw i lasów spowita wstęgami bystrzych
dopływów Columbii, czy też owych cudownych wyżyn Union
Peak, Hayde Peak i ponurego Ouragans z Wide Water
Moundains, który dał zapewne początek nazwie sławnemu
z burz Oregon.

I co by to była za rozkosz dla poetycznej natury Ma-
ksa, gdy nie czuł się niczem skrepowany w tej wycieczce na
wskroś artystycznej. Ależ czyż mu wolno było zapomnieć, że
jest przedewszystkiem: partnerem gry dziwacznej, igraszką
losu, pionem bez woli, który w oznaczonych terminach cza-
su, ma posuwać się na tej wielkiej szachownicy Stanów Zje-
dnoczonych. Myśl ta upokarzała go.

— Wyrzekłem się godności wolnego człowieka, przy-
mując tę rolę — myślał dość często z niesmakiem — i to
jedynie dla widoków odziedziczenia majątku zmarłego ory-
ginała. Naprawdę, rumieniec wstydu oblewa twarz moją
ile razy nawet mój Murzyn spojrz na mnie. Kapitałne
głupstwo zrobiłem. Trzeba mi było od razu zostawić do
licha i Tornbrocka i całą tę grę szaloną. Byłbym przynaj-
mniej uszczęśliwił cheiowych Titburów, Crabbów, Kymbalów
i Urricanów... Łagodną i skromną Helenę Nałęcz, nie liczę
do nich; bowiem miła ta panienka nie wydała mi się wcale
zachwycona rolą figurowania w grupie siedmiu. Jak mi
Bóg miły, rzuciłbym jeszcze teraz wszystko i pozostał
w Wyomingu dopóki mi się spodoba, gdyby nie wzgląd na
moją ukochaną matkę, któraby mi nie wybaczyła takiego bra-
ku wytrwałości. A więc, skoro nie może być inaczej i znaj-
duję się już w tym z niczem nieporównanym Yellowstone,
niechże zobaczę wszystko co da się widzieć w krótkich dzie-
sięciu dniach, w których jestem panem swej osoby.

Tak rozumował Maks Real, lecz gdyby nawet rozpo-
rządzał swą osobą dowolnie, ryzykowałby zbyt wiele, gdyby
zapuszczał się samotnie w ten kraj piękny wprawdzie,
gdzie wszakże łatwo jeszcze spotkać się można z drapie-
żem zwierzem, lub bandą koczujących Siuksów, przeciw

którym niejednokrotnie dotychczas wojsko występować
musi.

Nie dawniej jak w 1870 r. rząd powierzył pp. Lang-
ford, Doanne i dr. Heyden, pierwszy raz misję zbadania
mało do owej pory znanych okolic jeziora Yelowstone, do-
dając dla bezpieczeństwa odpowiednią siłę zbrojną. W dwa
lata później na skutek złożonych relacji, kongres uznał pię-
kny ten zakątek, jako własność państwa, zasługującą na
szczególną jego opiekę. I odtąd obszar tej ziemi mającej
55 mil szerokości na 65 długości, z jeziorem Yelowstone
i źródłami Missouri, zabezpieczony od prywatnych nabyw-
ców, przeznaczony został ku ozdobie kraju i przyjemności
miłośników piękna.

Właściwie dwie linie transkontynentalne łączą New-
York z San-Francisco. Pierwsza z nich zwana Oregon
Short Line, długa na trzy tysiące osmdziesiąt mil, skierowa-
ną jest na Oregon — druga obliczona na pięć tysięcy trzy-
sta, idzie przez Topeka, Denver, Cheyenne, przecina Wyom-
ing, Utah, Nowadę i Kalifornię aż do oceanu Spokoj-
nego.

Od Ogden, w Utah, linia boczna zmierzająca ku pół-
nocy dosięga Helena City, w Stanie Montana, skąd mała
już tylko przestrzeń dzieli od Parku Narodowego, którego
terytorium wchodzi w skład trzech sąsiadujących tu ze so-
bą Stanów: Idaho, Montana i Wyoming.

Od Chpeyenne do Ogden liczy się około pięćset mil,
a z Ogden do Monida, najbliższej stacyi Parku, już tylko
czterysta pięćdziesiąt i tę drogę wybrał właśnie Maks Real,
pragnący koniecznie zwiedzić przy sposobności Ogden, któ-
re leży z północnej strony wielkiego jeziora Salt Lake, gdy
na południowym jego brzegu rozkłada się miasto tegoż sa-
mego nazwiska, znane nie tyle jako stolica Stanu, ile jako
główna siedziba sekty mormonów.

Z jakąż przyjemnością byłby pierwszy partner zboczył
jeszcze do tej miejscowości, budzącej słuszne zaciekawie-
nie. Cóż, kiedy nie był panem swej woli i czas, którym
mógł rozporządzać, nazbyt był krótki, aby zdołał zadowo-
lić wszystkie swe chęci. Wiele też przez cały dzień 17-go
maja, podążył pociągiem na pograniczu Stanów Idaho
i Wyoming, do Oxfordu.

Idaho, leżące w zagłębieniu Kolumbii, bogate w po-
kłady mineralne, zwabia co wiosnę całe tłumy poszukiwa-
czy złota, a żyzna gleba wróży, że i rolnictwo rozwinie się
w niedalekiej przyszłości. Tymczasem kryją się tam jesz-
cze Czarne Nogi, Przekłute Nosy, Odważne Serca i inne
niespokojne plemiona indyjskie; między zaś ludność białą
mieszka się dużo Chińczyków, szukających łatwiejszych, ni-
żeli w swej ojczyźnie, warunków życia.

Stan Montana, jak to sama już nazwa wskazuje, jest
krajem górzystą, zatem mniej podatną pod uprawę zbóż, ile
dla hodowli bydła, której też przeważnie oddają się mie-
szkańcy, chociaż nie brak i tu również pokładów złota
srebra i miedzi. Lecz ze wszystkich ziem Unii tu właśnie
jeszcze najliczniej osiadłe są plemiona indyjskie, z których
więcej znane: Płaskie Głowy, Grube Brzuchy, Kruki, Mo-
doksy i Cheyenni niepokoją swych sąsiadów, kolonistów.

Uznane pierwotnie za stolicę Stanu, miasto Wirginia
choć wznosiło się z początku szybko, ustąpiło teraz pierw-
zeństwa zostającemu w lepszych warunkach Helena City.
Od stacyi kolejowej Monida, dla stale ożywionego ruchu
turystów, podążających ze wszystkich stron świata do Yel-
lowstonu, prowadzi w głąb uroczego kraju wygodne kolej-
ki. Jedną z nich jechał teraz pierwszy partner.

Jeżeli słuszne jest porównanie, że czem są skwery
i ogrody dla miast, tem bywają parki narodowe dla całego
kraju, to Stany Zjednoczone i pod tym względem są dość
bogate; oprócz bowiem najslawniejszego parku Yellowsto-
ne, coraz więcej zyskują rozgłosu wspaniałe okolice Crater-
Lake, w wulkanicznej miejscowości na północo-wschodzie —
również uroczą dolina, zwana: Ogrodem bogów, malowniczo
ujętą w górzyste ramy, w Stanie Colorado; — a wreszcie boga-
ta w prześliczne widoki amerykańska Szwajcarya.

Ponieważ skalista i wulkaniczna ziemia dokoła Yellowstone najuniej jest wdzięczną dla pracy rolnika, a dość osty klimat nie sprzyjający rozwojowi roślinności, usuwa nawet hów bydła, państwo właściwie nie nie traci, gdy całą tę krainkę pozostawiło w jej pierwotnej dzikości. Więc też gdy ręka człowieka mogłaby tylko popsuć to cudowne dzieło przyrody, jedyną jej czynnością było tu przeprowadzenie dróg komunikacji oraz wzniesienie hoteli i restauracji, w których turysta znajduje nie tylko potrzebne wygod, lecz nawet zbytówny komfort.

Wszystko wszakże na świecie ma swe ujemne strony, i doświadczenie wykazało, że dla organizmów wrażliwych, dłuższy pobyt w tej wilgocią przejętej nieścowości, szkodzi zdrowiu, wywołując objawy złośliwej febr.

Dla innych znowu, na nagłą zasługuje zbytńio uprawiany sport polowania na niewiną zwierzynę, której należałoby się więcej ochrony. Cóż, kiedy myśliwini są tu przeważnie dyrektorowie towarzystw finansowych, których własnością są miejscowe koleje żelazne i hotele, a zakład Terasse Mammoth stanowi punkt środkowy jakby udzielnego księstwa.

Prawie trudno uwierzyć — księstwo w wolnej republice amerykańskiej!..

Pora, w której Maks Real przybył do Yellowstone, zwabia właśnie najliczniej podróżnych. Pełno też było ich wszędzie, lecz na szczęście nikt nie posądział, aby malarz, który z takim przejęciem oddawał się swej sztuce, należał do „siedmiu” gry Hypperbona.

Nie kępowały więc niczyją uwagę, czuł się artysta nad wyraz szczęśliwy, gdy mógł swobodnie przebiegać tę cudowną miejscowość we wszystkich kierunkach i bez przeszkody odtwarzać na płótnie każdy piękniejszy lub oryginalniejszy widok; a cenne te studia, które ze wzastającym wykończał zapałem, miały mu wynagrodzić sownie trudy całej podróży, chociażby go nawet ominęła wielka wygrana, o której też co prawda, najmniej teraz myślał.

Tony wszakże towarzyszący wszędzie swemu panu, nie umiał podzielać jego zachwytów i utrzymywał stałe, że wymalowane widoki są o wiele piękniejsze od natury, na co artysta uśmiechał się tylko pobłażliwie.

Tak upływały hyżo dnie jeden za drugim.

— Tu dopiero dla mnie życie, tu rozkosz prawdziwa — myślał często Real w upojeniu i zachwycie. Iluż wrażeniami napawa się ta dusza moja! aż żal pomyśleć, że niezadługo trzeba mi to wszystko rzucić i wracać do Cheyenne.. Toż to już 29-go muszę tam być koniecznie.. Aby się tylko nie spóźnić. Boże drogi, co by na to powiedziała kochana matka moja!..

A nie tylko artystyczna dusza Maksa znajdowała tam tak wyjątkowe zadowolenie. Usposobienia nawet najmniej na piękno wrażliwe, nie pozostają obojętne na cuda doliny Yellowstone, w których sama różnorodność już jest osobliwą.

Tu skupiają się w grupę bazaltowe skały, jak obronne jakoweś zamczyska, z ciężkimi baszty i wysmukłymi wie-

życami, tam stoją znów pojedynczo, szczytami sięgając obłoków, a błyszczą i migocą śnieżną koroną nihy rozsiedli na swych tronach jakowys władcy potężni. Gdzieindziej znowu stoją w zwartych kolumnach, tworząc wśród stromych swych ścian długie, kręte korytarze, wiodące do obszernych kotlin, jakby w bajecznym labiryncie; a wszystko to splecione w chaotyczną całość zielenią lasów i spływającymi z wyżyn potokami, które odwieczną tam pracą swoją żłobią wywły i rozpadliny, błyszczące zdala jak rozwieszne złociste i purpurowe wstęgi.

Znowu odmienny widok. Oto resztki olbrzymich niegdyś lasów powalonych i zdruzgotanych w strasznej, ognistej powodzi lawy, która dziś skamieniała, spłynęła tu kiedyś z bezczynnych obecnie wulkanów, szerząc straszne dzieło zniszczenia.

(d. c. n.)

SZARADA.

Pierwsze wapak z *drugim* prosto, jak to wiecie sami,
Jest prawie nieodłączne z wielu przedmiotami.
Drugie z *trzecim* przeróżne barwą i robotą,
Z giętkich włókien lub słomy ręce ludzkie plotą.
Trzecie z *drugim* od smutnej osłania przygody
Trzymając w bystrym pędzie groźny wylew wody.
Wszystko wraz z swą morderczą dobrze znane siły,
Tysiące zdrowych ludzi spycha do mogiły.

ŁAMIGŁÓWKA KRYSTAŁOWA.

ul. W. S.

1. Spółgłoska.
2. Zwierzę z rodzaju pustorogich.
3. Napój tatarski.
4.
5. Wyspa na m. Śródziemnem.
6. Płynący lód.
7. Spółgłoska.

Rząd środkowy poziomo i pionowo utworzy imię europejskiego monarchy.

ROZWIĄZANIA DO Nru. 32-go.

Łamigłówni sylabowej:

1) Haiti. 2) Eck 3) Nemezys. 4) Rzeszów. 5) Yazoo. 6) Krzyk. 7) Raja. 8) Zanzibar. 9) Esnek. 10) Włocławek. 11) Uzbekowie. 12) Słomim. 13) Kiachta. 14) Irtysz.

Henryk Rzewuski — Zamek krakowski.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

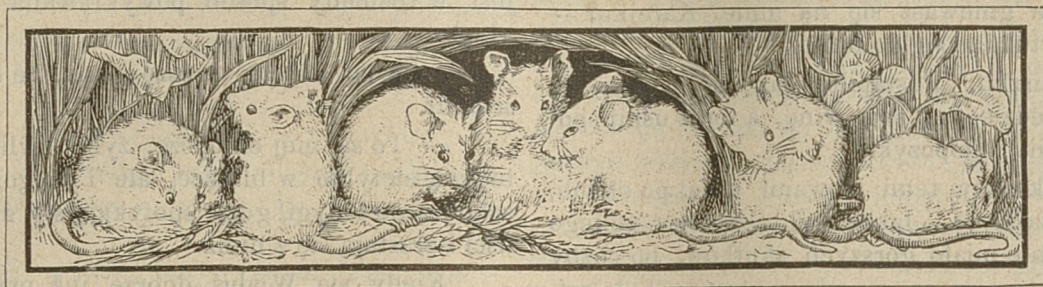
W Austrii rocznie złr. 6. — W Prusach: rocznie mar. 12.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Latem, wiersz przez Z. Plewińską. — Róża bez kolców, opowiadanie osnute na tle przyrody tatrzańskiej, przez Zofię Urbanowską (z ryc.) — Wózek z pomarańczami (z ryc.) — Siódmy list Janka Ż. do Redakcyi Wieczorów. — Testament dziwna, powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. (z ryc.) — Łamigłówna i rozwiązanie. — Dodatek: Tresowana myszka przez M. St. (z ryc.) — P'aproć, pogadanka przez Henryka Rygiera. — Zamieśmy się, komedycja w jednej odsłonie? — Łamigłówni i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. — Dodatek książkowy: Na wakacjach, przez Maryę Łopuszańską.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Бапшава 6 Августа 1900 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balinska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.



TRESOWANA MYSZKA.

ZOBACZ
WYDZIAŁ
ARTYSTÓW

Karolek był trzynastoletnim chłopcem i najstarszym z czworga dzieci, kochał szczerze młodsze rodzeństwo i chętnie bawił się z nimi, za co malcy uwielbiali starszego brata.

Gdy ze szkół przyjeżdżał na święta i wakacje, wolno było dzieciom w dzień jego przyjazdu, godzinę dłużej bawić się wieczorem niż każdego innego dnia. Tym razem Karolek przywiózł Tomciowi i Helci śliczną książkę z obrazkami, którą ciekawie oglądali, a dziesięcioltniej Meli powiedział, że dla niej podarek przybędzie dopiero nazajutrz.

— Może nawet jeszcze i dziś wieczorem — dodał — kupię go od kolegi, który obiecał mi przynieść go dziś lub jutro rano; zdaje mi się, że uradujesz się z niego, gdyż jest to wytresowana myszka! Kręci się w kółko, jakby tańczyła i podskakuje bardzo zabawnie; mieszka w ładnym domeczku, ale musisz uważać, żeby ją z niego nie wypuścić, gdy kot będzie w pokoju, bo jegomość ten prędkoby się z nią uwinął. A to myszka tak oswojona, że biega swobodnie po całym pokoju.

Tomuś z szeroko otwartymi oczyma przysłuchiwał się bratu, a Mela dziękowała Karolowi i ścisnęła go uszczęśliwiona. Naraz Tomuś zapytał:

— A ja będę się mógł bawić tą myszką?

— Nie kochanku, tyś jeszcze za mały; mógłbyś jej nieumyślnie zrobić coś złego — odrzekł Karol.

— Nic jej złego nie zrobię, Karolku, zobaczysz, ale ja muszę pobawić się myszką! muszę! — wołał malec uparcie, i zaczął nawet płakać, gdyż Tomuś jako najmłodszy, był trochę rozpieszczony.

— Tomciu, nie bądź taki naprzykrzony — rzekł Karol.

— Ja się nie naprzykrzam, tylko chcę myszki! — wołał.

Mela starała się go uspokoić, mówiąc:

— Będiesz się bawił myszką, razem będziemy się nią bawili.

Ale Tomuś śpiący już, zawołał:

— Ja sam chcę się bawić myszką. Dajcie mi ją! dajcie mi ją!

Na to weszła bona i słysząc co się dzieje, rzekła:

— Panie Tomasz, proszę się uciszyć, już czas spać — i zabrała opierającego się malca, który wciąż wołał, że musi zobaczyć myszkę Meli.

Mela miała dobre serduszek, więc poszła za nim i obiecała, że jak tylko myszkę przyniosą, to mu ją pokaże, ale malec był niegrzeczny i ciągle swoje powtarzał, w końcu przestał płakać i cicho leżał w łóżeczku, ale nie mógł zasnąć i szeptem powtarzał:

— Ja nie jestem za mały, ja myszce nic złego nie zrobię.

Gdy wszyscy się pokładli i cisza dom zaległa, uparty chłopczyk wstał pocichutku i na palcach wysunął się do drugiego pokoju. Księżyc jasno świecił i Tomuś odrazu spostrzegł małą klateczkę, a w niej przytuloną ciemno-szarą myszkę. Ujrawszy to ładne stworzonko z różowym noskiem, małymi łapkami, długim ogonkiem, Tomuś stanął zachwycony, a myszka spojrzała na niego bystreimi oczkami i zaczęła natychmiast tańczyć dokoła klatki tak, jak konie tresowane tańczą w cyrku dokoła areny. Chłopczyk śmiał się radośnie, otworzył drzwiczki klatki aby pogłaskać mądre zwierzątko, w tem — myszka jednym susem wyskoczyła przez otwarte drzwiczki i zniknęła.

Jakże Tomuś w tej chwili mocno żałował, że był uparty i samowolny! Serduszek mu biło silnie, gdy na kolanach pętał po podłodze, aby złapać figlarną myszkę, lecz myszki ani śladu. A w jakim był strachu, aby kot się nie zjawił i nie schrupał małego zbiega. W końcu zmęczony i serdecznie zmartwiony, widząc, że myszki sam nie odszuka, ukląkł i zaczął się modlić, prosząc Boga,

aby mu przebaczył jego nieposłuszeństwo i dozwolił znaleźć myszkę.

Zaledwie skończył modlitwę, usłyszał cienki pisk i coś dotknęło delikatnie jego bosej nóżki. Obejrzał się, a tu jego zguba najspokojniej patrzy na niego. Wziął delikatnie mądre stworzonko, włożył do klatki, której drzewiczki zamknął starannie i odetchnął głęboko. Lecz popełnione nieposłuszeństwo ciążyło mu na sumieniu, więc wsunął się do pokoju Karola i opowiedział eo zaszło.

— Ależ ty drżysz z zimna, Tomciu — rzekł Karol. — Chodź do mnie to się rozgrzejesz.

— A czy nie gniewasz się na mnie, Karolku? — spytał malec, przytulając się do brata.

— Nie, braciszku. Postąpiłeś jak mężczyzna, że przyszedłeś opowiedzieć mi swą winę, a teraz usnij spokojnie, jak grzeczny chłopczyk.

Tomuś uspokoiony temi słowami usnął po chwili, objawszy Karola za szyję. Jakże był szczęśliwy, że jego nieposłuszeństwo nie miało gorszych skutków, bo cóżby uczynił, żeby owa tresowana myszka na zawsze była zgineła. Jaką przykrość sprawiłby przez to swojej dobrej siostrzyczce! Gdy dziecko uprze się, aby na swoim postawić, wtedy zazwyczaj sobie i drugim wielkiego narobi kłopotu.

M. St.

PAPROĆ.

POGADANKA.

— Panie Henryku! — wołał ośmioletni Waluś, wstając od stołu i składając książki, po skończonej lekcji: — Złoty panie Henryku! Pójdziemy do lasu, na tę polankę, gdzie tak dużo rośnie paproci.

Lekcja odbyła się dobrze, a słońko tak mile spoglądało z nieba, że pan Henryk od razu zgodził się na spacer i prócz tego obiecał opowiedzieć bajeczkę o paproci.

Po chwili nauczyciel i chłopiec szli przez kwiecistą łąkę, w stronę lasu. Co chwila spotykali niezabudki, maki, dzwonki, rumianek, stokrotki, lecz nigdzie nie zatrzymywali się, dążąc ciągle naprzód. Wreszcie doszli do lasu.

— Ach, jak tu chłodno! — wołał Waluś, biegnąc do polanki, prawie zupełnie zarośniętej paprocią.

Po chwili obaj siedzieli już w cieniu drzew. Tuż przy nich rozkładało się kilka pięknych liści strzępiastych, niby delikatne koronki.

Przeglądałeś się też kiedy baczniej paproci? — pytał pan Henryk Walusia.

— Nigdy, proszę pana.

— A więc przypatrzmy się teraz. Widzisz, że paprocie są to rośliny, mające zawsze okazałe liście, które są silniej rozwinięte, niż lodyga, Lodyga albo pełza po ziemi, albo kryje się mniej więcej głęboko pod ziemią, za to liście zawsze wznoszą się do góry.

— Ach, jakby ładnie wyglądało drzewo z takimi liśćmi, jak u paproci! — mówił Waluś.

— Owszem chłopcze, istnieją takie drzewa. W krajach gorących lodygi nie rosną tak, jak u nas, pod ziemią, ale wznoszą się do góry i grubieją, w dość spore drzewa, na kilka łokci wysokie. A teraz przyjrzyj się liściom. Widzisz, że składają się one z dwóch części: z cienkiej, która wychodzi z lodygi, to jest z ogonka i z rozplaszczonej, która się nazywa blaszką. Blaszka przedzielona jest ogonkiem na dwie połowy: prawą i lewą. Każda z tych połówek, póki liść jest w pączku, jest zwinięta w tutkę, do środka. W drzewach paprociowatych liście bywają nie raz od 4 do 8 łokci długie. Blaszka liści paprociowatych jest w rozmaity sposób powykrawana i podzielona na kłapki.

— A co znaczą, proszę pana, te białe linijki w liściach?

— To są, mój chłopcze, żyłki czyli nerwy; żyłki te biegną nie tylko w blaszce, ale i w ogonku, a z ogonka schodzą do lodygi, gdzie spotykają się z nerwami innych liści i zrastają się z nimi.

Kiedy się Wiałuś dobrze już przypatrzył liściom pan Henryk spytał go:

— Słyszałeś kiedy o kwiatach paproci?

— Och, i nieraz.

— Posłuchaj więc teraz bajeczki. Pewnego razu Pan Jezus przechadzał się po lesie. Wszystkie rośliny witały go swymi kwiatami i zapachem, tylko paproć nie miała czem powitać Pana i tak się tem zasmuciła, że lzy gorzkie zaczęły jej padać na ziemię.

Zobaczył to Chrystus, a ucieszywszy się tą miłością paproci ku Niemu, schylił się i dotknął ustami jej liścia. W tej chwili zabłysnął cudowny kwiat.

Lecz paproć zatrzwożyła się bardzo i rzekła do Chrystusa:

— Panie! lękam się, że jaki zły człowiek zerwie dar, który od Ciebie otrzymałam.

Wtedy Pan Jezus odrzekł:

— Nie trwóż się. Nikt, kto nie będzie miał czystej duszy, nie ujrzy twojego kwiatu.

I odszedł Pan, a paproć słała do nieba dziękczynną modlitwę.

— A ja słyszałem — mówił Waluś, gdy pan Henryk skończył opowiadać — że kto zobaczy kwiat paproci, ten znajdzie wielki skarb.

— Masz rację, chłopcze, bo tylko ten może zobaczyć kwiat paproci, kto duszę swoją zachował w czystości; a czystość duszy jest największym skarbem, jaki można posiadać.

Henryk Rygier.



ZAMIEŃMY SIĘ.

Komedyjka w jednej odsłonie.

(Dalszy ciąg).

SCENA 5-ta.

Ludka, Jańcia, Władzio, Antoś, Kasia.

Kasia (*bardzo mizerna i ubogo ubrana, wchodzi nieśmiało, staje u progu, mówiąc*). Całuję rączki.

Ludka. Jak się masz, Kasiu — wszakże tobie Kasia na imię?

Kasia. Kasia, proszę panienki.

Władzio (*cicho do Antosia*). Jakie mizerne biedactwo.

Ludka (*nie wiedząc sama co mówi*). Ty tu mieszkasz na dole?

Kasia. Na dole w suterrenach — tu od dziadzińca.

Antoś. W tem małym okienku, nad ziemią, gdzie wisi klatka z jakimś ptaszkiem.

Kasia (*z ożywieniem*). Tak, tak! to właśnie mój wróbelek — panicze słyszeli może jak on ślicznie śpiewa, zupełnie jak kanarek — powiadają, że musiał być gdzieś razem z kanarkiem i tak się nauczył od niego.

Władzio. Nie, nie słyszeliśmy — ale jemu tam okropnie ciemno być musi w takim kącie — czegoż ty go tam trzymasz?

Kasia. Nie jest ciemno, przecie to na oknie, a zresztą u nas i izba dosyć widna — w lecie to dopiero od południa lampkę świecić musimy.

Ludka. Jakto? musicie świecić lampkę w biały dzień?

Kasia (*z prostotą*). Ino od śniadania — na mieszkaniu zeszłego roku, tośmy zimą i latem cały dzień świecili.

Władzio (*do Jańci po cichu*). Biedacy!

Jańcia (*również cicho*). I pomyśleć, że z mojej winy...

Kasia. Tam, to mojemu wróbelkowi bardzo źle było, tak nędzniał bez światła, że nawet śpiewać nie chciał.

Ludka (*tonem moralizatorskim*). I czemu go nie wypuściłaś na wolność — wiesz przecie, że to grzech tak Boże stworzenie dręczyć.

Antoś (*po cichu*). Daj jej spokój z kazaniem.

Kasia. Chciałam, proszę panienki — ale kiedy się już tak człowiek przyzwyczaił do ptaszka, żeby straszny żal był bez niego. Jak matka pójdzie na cały dzień do roboty, a ja się sama ostanę, to tyle mam pociechy, że mi ten ptaszek świerka. Samemu to się człowiekowi strasznie przykrzy, a najgorzej to już w lecie, kiedy ani szkoły ani doma opieki nie ma.

Antoś (*do Ludki*). Powiedzże jej już raz — teraz dobra sposobność.

Ludka. Moja Kasiu — ty tu podobno przyszedłaś do panny Jańci...

Kasia (*nieśmiało*). Tak... bo ja myślała, że panienka... (*patrzy na Jańcę*), ale może panienka ze mnie nie rada.

Jańcia (*z wysiłkiem*). Nie to: nie rada — owszem, rada ci jestem serdecznie, moja Kasiu, ale... strasznie mi przykro...

Ludka (*do Kasi*). Bo to podobno p. Jańcia obiecała ci, że pojedziesz z nami na wieś.

Kasia (*z wybuchem radości*). Tak, tak, obiecała... (*dzieci milczą chwilę strapione*).

Ludka (*na str.*). Biedactwo! (*głośno*). A byłaś ty już kiedy na wsi?

Kasia. Ja? nie — skądby? (*z ożywieniem*). Ale ja wiem jak tam na wsi jest — wiem dobrze!

Antoś. Skądże tak wiesz dobrze?

Kasia. Bo to mi ładnie opowiadały — niby inne dzieci, co już jeździły ze szkoły na kolonie — że tam na wsi to nie ma żadnych ulic, ani kamienie, ani suterren, tylko drzewa i słonko na wszystkie strony, jak w jakim cudnym ogrodzie. I ptaszków nie trza trzymać po klatkach, bo het latają naokoło domu i śpiewają cały Boży dzień! I po mleko nie trzeba chodzić do sklepiku, tylko krowa jest, swoja własna, co jak ją udoić, to da takiego mleka, jakiego ludzie w mieście nawet i nie posmakowali nigdy.

Władzio. A ty lubisz mleko?

Kasia (*z zapalem*). O, jabym cały dzień piła! ale matka powiada, że herbata tańsza, bo jak się zgotuje na południe, to już mamy i na wieczór i na drugi dzień rano, trochę się tylko wody doleje.

Ludka. A czemuż sobie nie zaparzycie osobno na każdy raz świeżej — to przecie i lepsza i zdrowsza.

Kasia. Aleby trzeba na każdy raz palić pod kuchnią, to się nie opłaci proszę panienki; matce zarobek nie zawsze się trafi, zwłaszcza w lecie, bo to państwo się rozjeżdżają, nieraz to i cukru kawałeczek trudno kupić...

Antoś (*do Władzia*). Jacy to nędzarze!

Władzio (*zniżając głos*). Wiesz, mam myśl: złożmy się na nią.

Jańcia (*zmieszana*). Ach, pocciwy Władzio! złożmy się.

Antoś (*głośno*). Więc tybyś tak chciała być na wsi, żeby cały dzień pić mleko?

Kasia. Ej, nie tylko według mleka; jabym najwięcej rada na wieś, według biegania i według słońca — i matka też powiada, żebyś skrzepniała na wsi i mogła bym jej potem coś nie coś pomódz w robocie — a na matkę też już ciężko, boć nie bardzo silna.

Ludka (*ze współczuciem*). I ty także bardzo jesteś mizerna, moja Kasiu, możeś słaba?

Kasia. Nie, Bogu dzięki, trochę mam dech krótki i lada czem się zmęcę; ale powiadają, że to więcej tak, ze suterren, że tam u nas wilgoć wielka, do choroby to nie daleko. O, nie daj Boże chorować! póki człowiek zdrow, to wszystko przetrzyma, a chory to tylko sobie i drugim zawadą

Antoś. Jak ona rozsądnie mówi.

Jańcia (*zniża głos z prośbą*). Powiedzcież jej już raz, bo mi się coraz przykrzej robi.

Antoś (*stanowczo*). Tak, trzeba jej powiedzieć! (*do Kasi*). Otóż widzisz, moja Kasiu, mybyśmy wszyscy, całym sercem radzi, żebyś pojechała z nami, ale...

Ludka (*stoi na boku, jakby namyślając się, przerywa mu nagle*). Nie mów jej nic, jeszcze się wszystko da zrobić. (*Do Kasi, widocznie ożywiona i poruszona, mówi prędko*). Ale jeszcze nie wiemy, kiedy zamy pojedziemy; bądź jednak spokojna, to cię nie ominie, pojedziesz z nami na wieś...

Jańcia, Władzio i Antoś (razem). Co ty mówisz?

Ludka. Nic, nic, nie przeszkadzajcie, ja już wiem, co. (Do Kasi). Idź do domu moje dziecko i bądź spokojna, pojedziesz na wieś, tylko trzeba jeszcze poczekać może dwa, trzy tygodnie, bądź cierpliwa.

Kasia (chce ją pocałować w rękę). Oj, panienko złota, co bym nie miała być cierpliwa! ja już przecież na tę wieś trzy lata czekam; miałam obiecać, że pojedę z kolonią, ale nigdy dla mnie miejsca nie było.

Ludka (wesoło). No, teraz będzie miejsce; możesz się przygotować do drogi; ot, sporządź sobie sukienkę, widzisz, jak ci się na łokciu rozdarła.

Kasia (z radością). Sporządzę! wszystko sobie sporządzę! Niech Pan Bóg nagrodi panienki i paniczów za ich dobroć! To się moja matusia dopiero cieszyć będzie.

Ludka. Idźże, idź, opowiedz jej wszystko.

(Kasia kłania się i wychodzi).

(d. n.)

ZAGADKA.

dla Haliny H. od Frani K.

Wprost oznacza gwałtowne ciała poruszenia,
Wspak zaś znowu materyał brany do palenia.

ŁAMIGŁÓWKA LITEROWA.

uł. Turkawka.

a
a
b c e
e e e i i
p i i j k k l o o p
s s s s s s
t w y
z
z

Z rozrzuconych liter ułożyć znane przysłowie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 32-go.

Zagadki: motylki.

Łamigłówny w kwadracie:

P r o s o
H e r a t
O r k a n
P e r i m
L u s o n

Skrzynka do listów.



Piszesz nam Złota Rybko, że od tygodnia rozmyślasz na tem, czem mogłabyś mamie zrobić największą przyjemność w dniu jej imienin. Podszepniemy ci do uszka dobrą radę, byleś tajemnicy nie zdradziła przed nikim. Największą radość rodzicom sprawia dobre postępowanie ich dzieci; jeśli zatem przez miłość dla mamy przełamiesz w sobie jaką złą skłonność, jeśli będziesz leniwa weźmiesz się usilnie do pracy, nie pozwalając sobie na żadne marudzenie i rozrywki, póki zadań swoich nie odrobisz; jeśli kłótniawą będąc, nauczysz się uprzejmie ustępować drugim; jeśli wleomówna, zmusisz się do milczenia; jeśli zbyt prędka, pohamujesz gwałtowność swoją, nie wspominając kłamstwa, gniewu za wiści, które stanowią tak brzydkie przywary, że o nie posądzają cię nie możemy; przezwyciężenie którejkolwiek z wad twoich stanowić będzie dla mamy najcenniejszy wiązerek, a ze znoszonych w darze co rok dobrych uczynków i pocziwych chęci, mama niby z woniejących kwiatów uplecie dla siebie niewiedniejącą koronę macierzyńskiej chluby.

Rybitwie z nad Wisły zaginiony numer wysłaliśmy. Wiesz, że o którego pytasz, używa jeszcze chwil odpoczynku na wsi. Zapewne wprost od niego wolisz otrzymać żądane objaśnienia, my tylko nadmienimy, że do tej gry, zarówno jak do wszelkich gier towarzyskich, potrzebna ostrożność połączona z uwagą na drugich, uprzejmość, a przede wszystkim unikanie sprzeczek.

Pierwszy twój list Kryniu z nad Słuczy musiał zaginąć, bo inaczej Redakcyja byłaby już dawno zadość uczyniła życzeniu twojemu. Żądane powieści wysłaliśmy, zapewne doszły już rąk twoich. Co do zapytania jakich rozmiarów ma być bielizna dziecienna, którą masz zamierzać na konkurs robót, odpowiadamy, że wielkość może być dowolną, tyle bowiem w naszej Warszawie jest biednych dzieci, potrzebujących odzieży, że zawsze znajdzie się takie, do którego wzrostu robota twoja nadawać się będzie zupełnie.

Elwuk odgadł trafnie, że w numerze 32 Wieczorów przez prostą pomyłkę drukarską w pseudonimie jego przemieniono jedną literę. Ciekawość dowiedzenia się, jakie powieści wychodziły w piśmie naszym w roku zeszłym, zaspakajamy, donosząc, iż drukowane były: Jan Niewdźd p. Z. Morawską, Wzajemna pomyłka p. Teresę Jadwigę i inne.

Obiecaną w Nr. 11 Wieczorów tablicę gry w „Stany Zjeńdnczone,” nietylko Olutek, Staś i Kazio Chmie. dopominając się o nią, ale wszyscy czytelnicy nasi otrzymają, gdy tylko możliwe będzie jej wydanie, opóźnione w skutek nieprzewidzianych przeszkód.

Dobre rozwiązania i zadania swego układu nadesłali: Elwuk Gołąbka z Łasku, Wieczorna Zorza, Rybitwa z nad Wisły, Gospośia z Wyszogrodu.

NAJWIĘKSZY WYBÓR

Ubrań dzieciennych

W MAGAZYNIE

J A N I N Y

w Warszawie Marszałkowska Nr. 151.